

czwartek, dostałem bardzo lukratywny kontrakt, pół godziny temu skończyłem go podpisywać, rozpiera mnie duma i radość, które jednak nie mogą być powodem opuszczenia zajęć z jogi, bez mojej jogi, bez joggingu, siłowni i basenu, byłbym nikim, nawet jeśli podpiszę tysiąc kontraktów, chcę już świętować, ale jestem konsekwentny, pewnie też dlatego dostałem ten kontrakt, wykonuję wszystkie zamierzone pozycje spokojnie i dokładnie, chociaż w środku wrze z radości, oprócz mnie w sali jest dużo dziewczyn, ale tylko dwie mają zgrabne tyłki, reszta ma jedynie nadzieję, na takie zgrabne tyłki, reszta zamiast tyłków ma łóżka wodne, patrzę na dwa zgrabne tyłki i wyobrażam sobie, że dzisiaj wieczorem znajdują schronienie u mnie w penthousie, że jedziemy razem taksówką, ja i dwa zgrabne tyłki i razem świętujemy mój kontrakt, że świętujemy go tak bardzo i tak intensywnie, że już rano nie muszę iść biegać, bo gdy przychodzi rano, ja i dwa zgrabne tyłki jeszcze świętujemy, joga mija szybko, wskakuję pod prysznic pod którym w samotności biorę dwa zgrabne tyłki z ich ruchami odtwarzanymi z pamięci, jak nowo narodzony zakładam moją Omegę, zakładam też garnitur, te szyte na miarę zawsze robią lepsze wrażenie, ociągam się, żeby dwa zgrabne tyłki wiedziały, kto im się tak przypatrywał i z kim mogłyby świętować do rana, ociągam się za bardzo, tyłki migają mi po drugiej stronie ulicy, gdy wychodzę z szatni, trudno, poświęcujemy następnym razem, zamawiam taksówkę, nie mam samochodu, wychodzę z założenia, że albo Ferrari, czerwone - szczyt moich marzeń, albo nic, jestem facetem, który zawsze dostaje to, czego chce, jestem cierpliwy, w dyspozytorni znają już mój numer i nie przysyłają mi pana w "beczce" z wąsem i papierosem, podjeżdża czysta nowa taksówka, tak jak ma być, rzucam jeszcze szybkie polecenie i zatapiam się w swoim iPadzie Pro, zawsze Pro, Pro jak ja i jak wszystko co sobą reprezentuję, bezwąsy kierowca wiezie mnie na zdrowe sushi, czytam wiadomości, pijana aktorka ma krakę, od razu wielkie larmo w sieci, to nie Stonesi, to nie Ameryka, patrzę co się dzieje w kraju, oszołomy krzyczą na oszołomy i wyzywają się od oszołomów, bez zmian, od niechcenia przeglądam wieści z frontu, uspokaja się, dobrze, nie chciałbym, żeby cokolwiek stanęło na mojej drodze do Ferrari, na mojej drodze do kontraktów, na mojej ścieżce jogging'owej

przy stoliku siedzi już kilku kumpli, dokładnie trzech: Hyzio, Dyzio i Michał, imiona są fikcyjne, ale nie mniej prawdziwe od tych w dowodach, pierwsi dwaj to skończeni idioci, a ten trzeci, jest całkiem w porządku, ci dwaj, jeśli tylko mogli, rzuciliby mnie ze schodów, ale teraz uśmiechają się do mnie i na mój widok zaczynają bić brawo, widocznie już wiedzą o kontrakcie, ściskamy sobie ręce, mówię, że stawiam, H i D stanowczo oponują, mówią, że biorą to na siebie, że dzisiaj mam się tylko bawić, że na stawianie przyjdzie jeszcze czas, chyba boją się, że dostanę jeszcze awans i chcą wkupić się w łaski, nie mam nic przeciwko, kiwam głową i zamawiam, zaznaczając, że to akurat na mój rachunek, japońską whiskey, kosztuje jak sam skur stop, nie skończę, od roku już nie klnę, bo nie mam dwunastu lat, alko dużo kosztuje, ale dzisiaj podpisałem papierek, który sprawi, że mógłbym pić butelkę dziennie i nie dostrzec żadnego ubytku w portfelu, H i D wiedzą to i wiem, że w środku zalewa ich krew, dobrze, cieszy mnie to, oni są idiotami, ale dobrymi graczami, nic nie dają po sobie poznać, rzucają small talkowe żarty o tym, że teraz będę mógł pić takie cymesy zamiast wody na squashu, odpowiadam, że do tej pory tak robiłem, teraz będę zmuszony poszukać czegoś lepszego, M nic się nie odzywa, w ogóle gość mało mówi, może dlatego tak go lubię, zanim pani ze zgrabnym tyłeczkiem przynosi nam ryż w glonach jesteśmy w połowie butelki

biorę to na siebie, wiem, że kontrakt oznacza więcej pracy i mniej czasu, ale przecież o to mi chodziło, jestem coraz bliżej mojego czerwonego cudeńka, zapraszam panów H, D i M do ekskluzywnego pubu w old fashion style, gdzie kupuje się cygaro wielkości największych czarnych penisów jakie widziałem, na filmach oczywiście, i szkocką kupuję, niewiele droższą od tej japońskiej,

oczywiście ja stawiam, HD i M wzbraniają się rękoma i nogami, właściwie M nic nie powiedział, ale widziałem, że tutaj już zrobiło mu się głupio, w przeciwieństwie do HD, którym zabrakło przyzwoitości na zwyczajowe wzbranianie się co najmniej dwa razy, może bali się, że się rozmyślę, ale dzisiaj i tak mam to w rowie, bo przecież to jest mój dzień i nic mi go nie może zepsuć

palimy cygara i siedzimy w fotelach, jak brytyjczy lordowie, przytaczam anegdotkę z jakiegoś filmu, o genezie zwrotu "OK", kiedyś w Stanach powstało nieformalne stowarzyszenie, o nazwie Old Kinderhook, czy coś takiego - w skrócie O.K., ponoć był w nim sam prezydent, i mówiło się "ten gość jest OK" o kimś, kto był w stowarzyszeniu, znaczyło to, że gość jest w porządku, z taką anegdotą wyjechałem, HD nie bardzo wie, co powiedzieć, ich niechęć do mnie wzrasta i nie dla tego, że znam takie wymyślne historyjki, tylko, że mam jeszcze czas oglądać filmy, a mam, bo wiem, że czas w nadmiarze zawsze imponuje, dlatego oglądam fragmenty filmów na youtube i youpornie, najczęściej w trakcie prysznic, po to właśnie zamontowałem ekran w łazience, IP68 - cudo, rano fragment filmu, żeby skuteczniej imponować, wieczorem fragment innego filmu, żeby trochę „spuścić z tonu”, rano zbieram, wieczorem sięję

jestem bardzo obowiązkowy, regularnie współżyję, zarabiam i pracuję nad swoim ciałem, reguła jak w zakonie, w moim życiu nie ma zbędnej chwili, żadnego religijnego ugrupowania, ze sportu tylko wyniki, żeby mieć o czym gadać z kilkoma ważniejszymi ode mnie, niezbędne minimum dziewczyn i kumpli, oczywiście jak trzeba się zabawić, to pomogę, ale też tylko w weekendy, bo one są właśnie po to, reset zwiększa moją wydajność o 33%, wiem, bo liczyłem

whiskey wchodzi, cygareto się popieli, płacę, przed wyjściem idę jeszcze do kibla, jestem trochę wstawiony, więc przychodzi mi do głowy pewien zabawny pomysł, jest dopiero szesnasta, ale dzisiaj moje święto, decyduję się więc zaburzyć rutynę i wyjmuję telefon, iPhone'a najnowszego, składał mi go sam Tim Cook, wchodzi w galerię i szukam najnowszych zdjęć i zaczynam trzepać nad swoim okrągłym kontraktem, i dawno tak pięknie nie dochodziłem

III

potykam się na progu, nie jestem aż tak wstawiony, jest jesień i zimne powietrze pomaga zachować mocną głowę, potykam się, bo jakiś zgrabny tyłeczek miga mi gdzieś przy barze, M mnie podtrzymuje, HD patrzy na niego z wrzutem, mówiłem, że M, to porządny gość, on jest OK, wchodzimy głębiej, miejscówka jest mniej stylowa od tych, które wizytowaliśmy do tej pory, ale za to więcej tu zgrabnych tyłeczków, mówię chłopakom, żeby zamówili mi kolejkę, nie chcę się uwalić jak świnia, jeszcze nie czas, jeszcze za wcześnie, poza tym muszę trzymać fason, upaść ostatni, w końcu to ja jestem dzisiaj alfa, muszę być najtrzeźwiejszy i najbardziej błyskotliwy, muszę lśnić, bardziej niż zazwyczaj

IV

zanim wejdę, zostaję jeszcze na zewnątrz, ze smutkiem orientuję się, że wieczorem chciałem jeszcze zaliczyć godzinkę na siłce, trochę poprzetrzucać żelazo, no trudno, dziś muszę imprezować, najwyżej odbiję to sobie w niedzielę, postanawiam nie myśleć już o tym, tylko dobrze się bawić, postanowiłem tak już kilka lat temu, bo ci, co siedzą i myślą nigdy do niczego nie dochodzą, a trzeba działać, trzeba napierd stop, trzeba pracować, wyjmuję telefon i sprawdzam grafik na dzisiaj, mam jeszcze jedno spotkanie, z matką, matka jest chora powinienem ją odwiedzić, ale zawsze jak od niej wychodzę jestem jakoś przybity, jak nie ja i wiem, że nie zasługuję na to dzisiaj, bo to jest mój dzień, matka jest chora od dziesięciu lat, to już trochę nudne, nic strasznego się nie stanie, u mnie za to dzisiaj wjechał świeży temat, nikt nie ma prawa mnie oceniać, dzwonię do domu spokojniej starości i proszę przełożoną, żeby przekazała starsuszce, że wpadnę jutro z bardzo dobrą informacją, przełożona pyta, czy to będzie informacja, na którą matka czeka od lat, czy przyjdę do niej z dziewczyną, uspokajam, że chodzi o sprawy zawodowe

wracam do środka, M zniknął, może tym razem on stawia, a może poszedł do kibla, HD dyskutują o czymś podniesionymi głowami, kiedy mnie zauważają, milkną i machają, żebym podszedł, jakby tak bardzo się stęsknili, że nie mogą już wytrzymać mojego powolnego kroku, pies ich je stop, M wraca, był w kiblu

V

znam to miejsce, przychodziłem tu jeszcze za dzieciaka, mieli tanie piwo i muzykę na żywo, fuj, zatrzymuję się pod drzwiami, HDM przystają razem ze mną, ten wieczór należy do mnie i dobrze to wiedzą, nie mogą mi tego odebrać, to jakiś niepisany savoir vivre naszego biznesu, wiem, że nie mają najmniejszej ochoty na knajpę tego rodzaju, ale jeśli się uprę, zrobią to bez mrugnięcia okiem, i więcej, będę udawać, że dawno się tak dobrze nie bawili, że ostatnio chyba na studiach, nie mam zamiaru uchodzić za ekscentryka, to mogłoby źle wpłynąć na mój wizerunek, ale ryzykuję i proponuję zajrzeć do środka, oczywiście mój pomysł spotyka się z trochę zbyt pełną aprobatą, wchodzimy

H mówi, że dawno nie był w takim miejscu

D mówi, że chyba ostatnio to na studiach

M nic nie mówi, M jest w porządku

zamawiam piwo, wiem, że nie powinienem, że procentami idzie się tylko w górę, ale kiedyś piłem tu piwo i teraz też chcę, jakieś dzieciaki rozkładają sprzęt, przyglądam się z zainteresowaniem, też kiedyś chodziłem w śmierdzących flanelach ojca, miałem popisane noski trampków, słuchałem Nirvany, czy innego gówna i osiągałem nirwanę, czy inne gówno - tanimi winami, dziwne, gardzę sobą z tamtych dni, a jednocześnie robi mi się jakoś melancholijnie, jakby tamto „wtedy” mogło cokolwiek znaczyć, szybko olewam temat, żeby nie stracić dobrego nastroju, rozglądam się za jakimiś zgrabnymi tyłeczkami, one zawsze wprawiały mnie w lepszy humor, dostrzegam cztery bardzo zgrabne i szykujące się do wyjścia, tak bardzo zgrabne, że odbieram duży dzban piwa i podchodzę do dzieciaków z kapeli, pytam się jak się nazywają, mówią, że „SIM ON”, mało chwytna nazwa, odpowiadam, ale i tak zasłużyliście na browara, oddaję im całe zamówienie i wracam do HDK, wskazuję głową na tyłeczki, które stoją już w drzwiach i proponuję, żebyśmy opuścili już ten statek, moja załoga przyjmuje to z nie skrywaną ulgą, tylko M pyta, czy przypadkiem już czegoś nie zamawiałem, pokazuję „SIM ON ów” i mówię, że w międzyczasie zdążyłem zrzucić to na inne barki

VI

mam już otępiony umysł tym, co wypłem dotychczas, cieszę się, że w końcu nie wypiliśmy tamtego piwa, mogłoby się skończyć niepotrzebnym katzenjammerem, a jutro rano trzeba wstać, trzeba biegać

Idziemy z dziewczynami na kolanach w kolejnej drogiej knajpie, szampan w cenie średniej krajowej wjeżdża na stół, wiem, że nie spada się procentami, ale zgrabnym trzeba zaimponować, żeby lepiej się otworzyły, jedna z nich, czarnulka, mocno się do mnie klei, jest naprawdę piękna, jak nowy produkt Apple'a w dniu premiery, trochę szampańskich bąbelków wylewa mi się z ust, szacuję ich koszt na trzy dyszki, tyłeczek z czarnymi włosami wyciera mi kąciki ust, zaczyna chusteczką, kończy językiem

kolejny bar, a my wciąż na nogach, niezły rekord, jak u Lowry'ego, wszędzie kilka shotów, bez coli, cola jest niezdrowa, w jednej szklance jest trzydzieści kostek cukru, a jak poleje się śrubką, to schodzi rdza, nie chciałbym mieć tego w sobie, moje ciało to świątynia, czarna zaczyna szeptać mi do ucha ostre sprośności, musi być niezłym zbokiem, jak Marquez, albo Houellebecq, świątynia staje w pełnej gotowości

VII

przekozaczyłem, nie mogę wstać, jak tylko ruszam się od stolika, upadam, ale M mnie podtrzymuje i sadza z powrotem na miejsce, jest w porządku, HD polewają kolejne kielonki i podszczypują zgrabne, pchają czarnulkę ze szkłem w dłoń w moją stronę, i chcą do mnie przepijać, jednak M mówi, że lepiej, żebym teraz trochę odpoczął, bierze szklankę wody w jedną rękę, mnie w drugą i wyprowadza mnie z lokalu

VIII

czarnulka jest niepokieszona, wszystkie dziewczyny się smucą, ale pocieszam je jak mogę i mówię, żeby nie płakały nade mną, w głowie dodaję, żeby płakały jednak, bo w tym stanie w którym jestem wszystkich nie zadowolę, dwie, trzy maksymalnie

IX

październikowy wiatr trzeźwi umysł, chociaż ciało jest wciąż pijane, błędnik wziął L4, M puszcza mnie na chwilę z cichym plaskiem upadam na tyłek, M zapala fajkę, nie wiedziałem, że pali, nawet sam miałbym ochotę, ale mój wewnętrzny jogin jasno się sprzeciwia, M nagle się odzywa, nie pamiętam, żebyśmy wcześniej rozmawiali

Opowiem ci pewną historię. Spokojnie, nie jest długa.

papieros rozżarza się słabym blaskiem oświetlając mu twarz

Opowiedział mi ją mój pierwszy szef. Znakomity facet, potrafił jak nikt inny poukładać świat wokół siebie. Otóż był kiedyś w naszym fachu specjalista z najwyższej półki, który naprawdę znał się na rzeczy. Nie pamiętam jak się nazywał, powiedzmy, że Bill, bo to jest imię sukcesu. I Bill takie kontrakty, o których my rozmawiamy jadł na śniadanie ze świeżymi cereals'ami. Aż pewnego dnia przyszło do niego coś wielkiego, nie wiem jak wielkiego, ale pewnie w stylu PKB małego państwka. Gość nie wiedział co ma zrobić. To znaczy robotę przyjął bez mrugnięcia i wykonał zawodowo. Ale nie to było jego kłopotem. On po prostu nie wiedział co ma zrobić z pieniędzmi. Aż w końcu podjął decyzję. Zburzy swoje pałace i na ich miejscu postawi zamki, do garażu z samochodami dobuduje jeszcze hangar na prywatny odrzutowiec, a zamiast basenu zaprojektuje sztuczne jezioro. Może nawet założy własne miasto? Dokładnie tak samo, jak kiedyś chciał zrobić Walt Disney. Z tą różnicą, że Bill nazwie je swoim własnym imieniem, a nie jakieś tam Florida Projekty. Plany miał szerokie. A kiedy już się spełnią - zostanie okrzyknięty najciekawszym wśród najbogatszych. Musk będzie przy nim małym chłopcem, a Bezos... Kim jest Bezos? Bill już do końca swoich dni będzie na okładkach, a jedyne czym będzie wypełniał swoje dni, to jedzenie trufli i wyścigi samochodowe. Koniec jest banalny i śmieszny. Gość następnego dnia zakrztusił się kaczką. I zszedł. Jak Korybut Wiśniowiecki.

kiedy M kończy swoją czerstwą historyjkę pytam, czy chce mnie zaprosić na obiad, jeśli tak, to na pewno nie będę jadł drobiu, uśmiecha się i dodaje, że cieszy się, że umiem wyciągać wioski, kończy papierosa, patrzy na zegarek, zwykłego Atlantica, i proponuje, żebyśmy wracali do środka, bo robi się zimno, bierze mnie pod pachę i odstawia do stolika

X

Iduję u czarnuli w mieszkaniu, nie wiem jak, mam nieco naderwaną celuloidową taśmę, ale skoro już leżę na łóżku, to znaczy, że fabuła zmierza do happy endu, niestety jest tylko czarna, szkoda koleżanek, ale przynajmniej jeden zgrabny dostanie dziś to na co zasługuje

jej dłonie delikatnie zdejmują ze mnie szyte na miarę ciuchy, i dobrze, nie zniósłbym tego, gdyby się podarły, jeśli ktoś kiedyś będzie chciał ukraść mi marynarkę oddam mu ją bez szarpania, koszulę możecie porwać na strzępy, ale marynarka niech będzie w całości

czarnulka powoli rozpoczyna taniec na rodeo moich bioder, nie wiem kto ją tego nauczył, ale John Wayne mógłby brać u niej lekcje, jest dobrze, jest naprawdę dobrze, zanim strzelę, czuję się już mocno trzeźwy, to akurat nie jest aż tak przyjemne, ale jak tylko skończymy ujeżdżanie byka, moja Europka będzie wolna, nie będę jej więził dla siebie i chętnie się podzielę

czarna leży zalotnie na King Sizie i uśmiecha się do mnie, dałem radę, zawsze daję, całuję ją w czoło kiedy zakładam spodnie, bo jestem czuły i wiem, że o kobiety trzeba dbać, matka mnie tego nauczyła, a że jestem nawet bardziej w porządku niż na to wyglądam, wychodząc z pokoju wsuwam czarnej do płaszcz pięć stówek, nie robi to z niej kurwy, po prostu chcę, żeby wiedziała, ile dla mnie znaczy

XI

H i D znajdują bez stresu, siedzą w jakimś ekskluzywie, M już podobno poszedł do domu, poddał się, no trudno, coś chyba miał dzisiaj doła, lepiej, żeby spędził go w domu, a nie zamulał nam atmosferę, dzisiaj jest mój dzień i mam zamiar się bawić

na przywitanie wjeżdża szklanka szkockiej, zanim jeszcze zdążę dobrze usiąść, pierwsza miło rozgrzewa, druga przekłada zwrotnicę na odpowiednie tory, wypatruję kolejnych dupeczek, ale zanim skończę czwartą wbijam gwoźdź, kierownik kina usnął i taśma znowu się zerwała

XII

świta, wracam na piechotę do domu, nie mam pieniędzy w portfelu, nie mam zegarka i telefonu, brakuje jeszcze butów i marynarki, mam nadzieję, że się nie podarła, jest zimno, bardzo, przyspieszam kroku, mam nadzieję, że to trochę mnie rozgrzeje i nie złapię żadnego świństwa, nie mam teraz czasu na złożenie się do łóżka, w końcu nie po to katuję swoje ciało, żeby byle chłodek ścinał je z nóg, staram się przypomnieć jakieś ćwiczenie z jogi, ale nie mogę się na niczym skupić, chcę tylko dojść do domu, chcę zdrowy, świeży, właśnie wyciśnięty soczek z pomarańczy, chcę czystą taksówkę bez wąsa, albo zgrabny tyłeczek zwilżający moje podbrzusze

w miękkim świetle poranka mija mnie czerwone Ferrari, zacznę kasłać

XIII

portier otwiera moje condo zapasowymi kluczami, strzeżone osiedla - ora pro nobis, wchodzę, rzucam się na wyro, nie czuję łamania w kościach, może pod sercem coś bardziej daje o sobie znak, ale to pewnie przez zmęczenie

otulam się prześcieradłem, nawet twarz

a rankiem gorący, parzący ramiona prysznic, pełen witamin, świeżo wyciśnięty soczek i schowana na czarną godzinę ścieżka, żeby się szybciej postawić się na nogi, może jeszcze strzepnę z siebie "wczoraj" pod prysznicem, spokojnie

XIV

piątek, odzyskuję świadomość z subtelnością wrywanego paznokcia, mam sklezione oczy i katuje mnie kaszel, dojmująco czuję swój wiek, ale to uczucie minie, kiedy w pracy młodszy koledzy nie będą potrafili mnie dogonić, sięgam ręką po telefon i dostaję zapaści, wszystko do mnie wraca, nie mam telefonu, o kurwa, głowa gorąca jak klimat po ociepleniu, trzęsie mną, od goudy, albo infekcji, cholera wie, nie mam iPhone'a

muszę się zerwać, muszę biegać, muszę jogę, do roboty i na siłownię, muszę zdrowe jedzenie i nowy garnitur, przypominam sobie jeszcze, że miałem odwiedzić matkę, tylko jak jej powiedzieć że,

*dzisiaj też nie dojadę, kaszlę, krew czerwieni pościel, kurwa mać, nikogo, żeby pomógł, głowa ciężka,
widzę podwójnie
miałem nadzieję, na złózkawstanie, ale okazało się, że ta opcja nie jest jednak przewidziana
dla wszystkich*

Bartłomiej Błaszczczyński Katowice maj 2020

Bartłomiej Błaszczczyński - mąż, ojciec, etatowy aktor Teatru Śląskiego, student Wydziału Reżyserii w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach;
Stypendysta Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury;
Współreżyser monodramu *Przebiegum Życia* na podstawie własnej adaptacji książki Piotra Czerwińskiego o tym samym tytule;
Reżyser spektaklu *Kamienie* na podstawie własnej adaptacji książki Grażyny Jagielskiej *Miłość z kamienia*;
Reżyser spektaklu *Stas i Zła Noga*;
Asystent reżysera i drugi reżyser przy wielu etiudach studenckich;
Jako reżyser filmowy zadebiutował etiudą *Krótki film spod znaku płaszcz i szpady*;
Tłumacz z języka angielskiego (dramat Tracy Lettsa *Killer Joe*)
Autor dramatu: *Beljung. Czyli „go to heil”. Albo „what the heil”*.